

ks. Zdzisław Lipiński

## DZIWNE SEMINARIUM

Dziwne, bo bez dzwonek regułę dnia wyznaczających i bez boiska sportowego potrzebnego dla rekreacji. Bez klauzury koniecznej dla tych, co pragną ciszy pustyni i bez orkiestry kleryckiej dającej ujście werwie młodego życia. Bez szaty duchownej po pierwszym przyniesieniu od krawca przez ciotki w domu podziwianej i bez listów w czasie podwieczorków rozdzielanych. Listów oczywiście ważniejszych od tego, co na stole było. Seminarium duchowne eryguje Stolica Apostolska, organizuje ordynariusz diecezji. Byli tylko kandydaci, którzy jak towarzysze św. Ignacego na Montmartre, sami się zeszli, sami sobie materiały naukowe zdobywali.

Być może, że tej małej, niby „ignacjańskiej” grupie nie przysługuje takie miano jak „seminarium”. Była to tylko mała grupka. Ale grupka z Montmartre nie szukała nomenklatury. Świadoma, że zebrała ją krew męczenników Lutetiae Parisiorum, pragnęła jedynie przyczynić się do jej zaowocowania dla przyszłości, przyszłości całkiem a całkiem niewiadomej... Jak tam, tak i tu, krwi męczenników nie brakowało. Tylko dlatego, że byli kapłanami, zostali porwani w nocy z łózka, więzieni bez wieści, rozstrzelani bez sądu, bez wyroku, zakopani w nieznanym lesie: prefekci gimnazjalni Bydgoszczy. Później odkryto miejsca fordońskiego „Montmartre” w lasach nad Wisłą. W masowych grobach, które pochłonięły krew inteligencji bydgoskiej. Wśród nich i młode życie księdza Aleksandra Rózka, prefekta gimnazjum im. M. Kopernika w Bydgoszczy.

*Sanguis martyrum clamat ad Dominum.* Ten głos krwi nie dawał spokoju nikłej resztkę polskiej młodzieży, tej, która spędzając dni w piwnicach, a noce w chlewikach, zdołała przetrwać pierwsze miesiące dech zapierającego terroru. Rozszalała się zafałszowana propaganda o „krwawej niedzieli”, jaką się przeżywało w Bydgoszczy 3 września 1939 roku. Mało komu udało się później ująć łapanom dokonywanym przed kościołami przez gestapowców. Wiedzieli, że w świątyniach – szczególnie w pierwsze piątki miesiąca – młodzież polska szukała ostatniej iskiarki nadziei po straszliwym ciosie zadanym przez buldożer hackenkreuzu. Więc tych „mohikanów” nie mogło być wielu. Kilkunastu zaledwie.

Ale przecież nie liczba decydowała o ogniu na Montmartrze wznieconym. A to tym bardziej, że systematyczne spotkania większej ilości młodych ludzi były praktycznie niemożliwe. Co noc powiększała się ilość naklejek „Beschlagnahm durch die Geheime Staatspolizei”, widniejących na drzwiach mieszkań, z których przerażeni ludzie nie zdążyli się nawet przebrać z nocnych koszul: grzmotem kołb rozbijających drzwi wejściowe rozbudzeni, kopniakami z łóżek wyrzuceni, równie zaspani jeszcze jak przerażeni, zdołali jeszcze jakiś płaszcz na nocną koszulę wciągnąć. W październiku, listopadzie już nie było ciepło. A co świt matka budziła: „Ubieraj się!” Bo przed oknami, po obydwóch stronach ulicy Jagiellońskiej, ciągnęły kolumny wywożonych. Dokąd? W nieludzkie

nieznane... Sprowadzani Balten -, Wolyniendeutschen wchodzili w ciepłe jeszcze łózka tych, których wywożono bydłęcymi wagonami...

Godzina policyjna skazywała na zaginięcie w lochach gestapo każdego, nawet i pojedynczego, a coś dopiero młodego Polaka. Ci, którzy wracali z nocnej służby, mieli wprawdzie „Bescheinigung”, ale i na nich czyhały kotły bojówek hitlerowskich, zaprawiających się do masakrowania, przemykających się jak cienie na pozostawione jeszcze „murzynom” peryferie miasta. Pozostawieni tam czasowo, bo jeszcze potrzebni do roboty. Samo miasto było systematycznie opróżniane z polskiego człowieka, i z polskiego ducha. Tablice na cmentarzach były zamalowane smołą. Surowymi karami groziło znalezienie polskich książek. Z mieszkań zarekwirowanych całe biblioteki szły do papierni na makulaturę. Nikt tego nie wypowie ani nikt się nie dowie, ile tam zginęło skarbów naszej polskiej kultury.

Nie opowie tego też nigdy mały, w skórę oprawiony, łańciski mszalik wydany przez Pusteta. Pewno pochodził z jakichś kapłańskich księgozbiorów. Uratował go od przemiału Egon Jonas, robotnik fordońskiej papierni. Robotnik z obciążoną kartoteką: przedtem absolwent Gimnazjum Klasycznego w Bydgoszczy, przyjęty w 1939 roku na pierwszy rok studiów w Arcybiskupim Seminarium Duchownym w Gnieźnie. Przyniósł mi ten mszalik jak relikwię, z głębokim przekonaniem o tym, że *sanguis martyrum - semen christianorum*. Przekonanie nie zawiodło. Dzięki temu właśnie mszalikowi, w jednym z obozów KL Mauthausen, mógł później kapłan odprawiać Mszę świętą... Dzięki temu z kolei wtajemniczeni „kacetowcy” mogli otrzymać zdumiewającą moc ducha: zaniesioną do łaźni i tam rozdawaną Komunię świętą. A wraz z tym niewymowne przeżycie tego, że nie jesteśmy już zdani na łaskę i niełaskę żelaznego smoka, lecz że Bóg z nami. Emmanuel!... Nie było i nie będzie drugiego doznania takiego szczęścia w otchłani nieszczęścia. Nieprzewidziane żniwo wyrosło z ziarenka uratowanego w fordońskiej papierni. Nieprzewidziany ten upływ czasu, po którym znalazło wzmiankę w austriackiej prasie, bo 25.6.1888 w „Kronenzeitung”. Tymczasem kiełkowanie ziarneczka, jak na roli, szło powoli. Łączyło nas już przed wojną umiłowanie kapłańskiego ideału. Ministranci w Klaryskach. Egon był w nauce o rok wyżej ode mnie. Więc dzielił się ze mną szczegółami ze swego seminaryjnego przygotowania, które zamierzałem też za rok podjąć. Ale teraz już nie było żadnej szansy. Żadnej uczelni dla polskiej młodzieży. Seminarium gnieźnieńskie zamienione na szkołę dla niemieckiej policji.

Ciężar przytłaczającej grozy potęgował dochodzący zewsząd zew krwi. Potęgował też i nasze wołanie, gdyśmy na fordońskich nieszporach wołali: *Parce, Domine, parce populo Tuo, ne in aeternum irascaris nobis...* Bo gdzie jeszcze wyjątkowo pozostał polski duszpaierz, tam już tylko po łacinie można było śpiewać. Nie spostrzegli tego z miejsca okupanci, gdyśmy w kruchcie Klarysek gimnazjalnego kościoła bydgoskiego sprzedawali broszurki zawierające na prędcie przetłumaczone na łacinę nasze główne pieśni i modlitwy. Przekładu dokonał ks. profesor Leon Dachtera, wykładowca filozofii w seminarium gnieźnieńskim. Gdy ze strachem sprzedawałem te teksty, nie wiedziałem, że raz kiedyś przyjdzie mi po nim przejąć filozofię już nie w „dziwnym”, lecz w prawdziwym seminarium w Gnieźnie... Wówczas się tylko jedno wiedziało: Niemcy chcą narzucić swój język i w kościołach, więc ratuje nas łacina. Kościół śpiewał po łacinie, ale modlił się po polsku. Z obawą i wzruszeniem intonowaliśmy po łacinie „Serdeczna Matko”, bo melodia pokrywa się z inną, z „Boże, coś Polskę” Po dziś została mi w pamięci pierwsza zwrotka modlitwy porannej: *Rutilante iam aurora, / Tibi mare, Tibi ora, / Omnis Tibi creatura, / Laudat Deum et natura. Ze szczególną iskierką nadziei psalmowaliśmy tam też „In exitu Israel de Aegypto”,* gdyśmy się schodzili na nieszpory niedzielne. Wyprowadził Pan Izraelitów z niewoli... Kto wie? – czyżby to było jeszcze możliwe? – że zech-

ciałby i nam, w jakiejś niewiadomej przyszłości?... taki cud okazać? Te nieszpory niedzielne w Klaryskach śpiewaliśmy na przemian z organistą. Początkowo obecność niewidzialnej grupy śpiewaczej na chórze nie rzucała się tak bardzo w oczy. Było nas też tam więcej. I inspirator teje scholi, Teofil Bogusławski, windziarz z Bydgoskiego Domu Towarowego, swą windę jednak bardzo obciążający: absolwent Gimnazjum Humanistycznego w Bydgoszczy, przyjęty do Arcybiskupiego Seminarium Duchownego w Gnieźnie w 1939 roku, alumn tegoż seminarium po skończonej wojnie. I Czesław Gil mający to samo obciążenie co poprzednik. I wspomniany już Egon Jonas, który potem zginął w działaniach wojennych na odcinku Granabschnitt w Słowacji w roku 1944. I kolega Edmund Koźmiński, późniejszy duszpasterz w diecezji warmińskiej, proboszcz w Lesinach, zmarł 7.12.1978 roku w Lipowcu. I Kazimierz Redziński. Zginął w Oświęcimiu. I dwaj bracia Ptaszykowie: Kazimierz i Olech (zginął w Stutthofie). I bracia Nagengast: Henryk (zmarł w USA) i Marian (zmarł po wojnie). I kolega Baumgartner, spod Koronowa, podczas gdy wszyscy inni, wyżej wymienieni, z Bydgosczy.

Nie zawsze zresztą schodziliśmy się wszyscy do jednego kościoła. Dzieliśmy się po różnych parafiach, ale mimo to nie uszło to uwadze czujnych volksdeutschów. Znali mnie już z widzenia, jak regularnie wracałem w niedzielne popołudnia do domu i czy wracałem sam czy, jak raz latem, z moją kuzynką, nie zmieniło to ich opinii o młodym Polaku. Polaku? Tak, bo właśnie nadciągała grupa umundurowanych sa-männer idących ulicą z jakąś flagą na czele. Wiadomo, że Niemiec podniesie rękę na znak „sieg-heil”, a kto tego nie uczyni – to Polak. Patrzący z okien Niemcy krzyknęły coś, wskazując na mnie. Czekali na to idący równolegle grupą, lecz po obydwóch chodnikach bojówkarze w cywilu. Nie spostrzegłem ich wcale, aż do chwili, gdy ich pięści i kopniaki jak młoty spadły na mnie. Nie byłem w stanie spamiętać ich wyzwick. Trzeba uciekać – pomyślałem sobie, rzuciłem się w boczną uliczkę, potem jeszcze raz w bok, ale tu znalazłem się, niestety, w ogrodzie Jagiełły, skąd nie było wyjścia. Musiałem wrócić na ulicę Jagiellońską, tam mnie znowu dopadli, jeszcze raz próbowałem się wyrwać. Ostatnimi siłami dobiegłem na wysokość bramy Gazowni Miejskiej, ale gdy mnie i tam dopadli, lepiej już dalej nie opisywać. Wiem tylko, że potem odprowadzili mnie do więzienia wojskowego przy ulicy Marszałka Foche’a, gdzie trafiłem na człowieka ze zwykłej służby wojskowej. Odczekał aż bojówkarze odeszli, spojrzął na mnie, coś mruknął, że mam ładne oczy, i ku mojemu zdumieniu – wypuścił. Czemu wypuścił? Odpowiedź na to pytanie znalazłem w domu. Zaalarmowana przez kuzynkę rodzina trwała na modlitwie. Wróciłem. Zrozumiałem. Później zrozumiałem i więcej. Później, to znaczy w czasie pięciomiesięcznego piekła przy Watach Jagiellońskich, czyli w areszcie gestapo, a potem w czasie dwuletniej gehenny obozu koncentracyjnego: w domu odmawiano codziennie różaniec. Dzięki temu mogłem przetrwać później o wiele jeszcze gorsze czasy. Bo to niedzielne pobicie okazało się drobniakiem w porównaniu z tym, co miało jeszcze nastąpić. O tym można było dopiero później powiedzieć. Na razie musiałem stwierdzić, że krótko po tym incydencie kościół Klarysek został zamknięty.

Zaczęliśmy zatem częściej niż dotychczas śpiewać na Szwederowie. Szwederowo było przed wojną przedmieściem zamieszkałym raczej przez biedotę. Małe parterowe chatynki niegodne były do przejmowania przez „übermenschów”. Z pogardą się o tej dzielnicy wyrażali jako o „Polenviertel”. Tam też najczęściej gromadziliśmy się na wspólne studium i na nasze specjalne nabożeństwa. Specjalne, bo poza wytworzeniem łańciskiej scholi zaczęliśmy stawiać pierwsze kroki w formacji seminaryjnej. Tego „dziwnego seminarium”. Jego organizatorem stał się ks. Zbigniew Wierchowicki, wikary bydgoskiej fary, który się z początku wojny utrzymał na farnej zabudowie. Nie wiedział jeszcze wówczas, co to za opatrnościowa zabudowa. Gdy pewnego dnia stanęli

w drzwiach domu gestapowcy z pytaniem: „Wohnt hier der Pfarrer Wierzchowiecki?” – on uprzejmie im wskazał drzwi swego mieszkania, a sam wyszedł na ulicę a stamtąd dalej, aż do Guberni Generalnej, gdzie wojnę przetrwał. Uczynił to bez wahania, gdyż szalejący w mieście terror był wszystkim znany. I los rozstrzelanych kapłanów na bydgoskim rynku. I dziwna sprawa „ręki ks. Jakubowskiego”, śladu na zburzonym później kościele pojezuickim. I wielkie plakaty rozmieszczone w pozostawionych Polakom kościołach. Na każdym konfesjonale musiał widnieć napis: „Hier wird nur deutsch gebeichtet”. Podobno na Siernieczku był jeszcze ksiądz, który po polsku spowiadał. Podobno go też i za to zaaresztowali i w Dachau zginął. Ks. Stanisław Świadek. I świadek!...

Świadek o tym, jak jest wewnątrz obozu koncentracyjnego, też nam było znane. Przekazywał je nam cudem chyba zwolniony ks. Józef Kobza z Leszna. Przebywał często w gościnnym domu ks. Wierzchowieckiego. Opowiadał o tym, co przeżył, jak rzeczywistość jest inna niż poezja, jak fale Dunaju wcale nie są modre, lecz szare i posępne, mętne i groźne. Więc ponad melodie „an der blauen Donau” przedkładał melodie liturgiczne. Uwolniony, szczęśliwy z przejęciem śpiewał „Exsultet”. Słuchając chłoniliśmy wspomnienia jego cierpienia i świadomości obecnego szczęścia. Uczyliśmy się w ten sposób śpiewów gregoriańskich. I choć dzisiaj słowa się zmieniły, melodia pozostała. Odtąd też w każdą Wielką Sobotę ze wzruszeniem wspominam fale Dunaju i Brdy. Fale Dunaju zlewające się później z melodią „Super flumina Babylonis”, fale Brdy, której kaskadę można było latem słyszeć w gościnnym domu ks. Wierzchowieckiego.

Byliśmy zatem w pełni świadomi, na co się narażamy tworząc to „dziwne seminarium”. Wybiła godzina, gdzie już skończył się czas recytacji, teraz trzeba było zdać egzamin z samego życia i mickiewiczowskiego pojęcia „szczęścia”: *I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu, jeśli poległym ciałem dał innym szczebel do sławy grodu...* Ale o ile więcej narażali się nieliczni już w mieście kapłani, dobrze wiedząc, że są przecież „ostatnimi mohikanami” w duszpasterstwie. Nie szczędzili sobie, by „rosło ziarno”. Byli to ks. Józef Grzelczak, TChr. i ks. Bernard Polcyn. To ich zdobył ks. Wierzchowiecki dla prowadzenia tego „dziwnego seminarium”

Późniejszy rektor Seminarium Duchownego Księży Chrystusowców w Poznaniu, ks. dr Józef Grzelczak, był wówczas wikarym na Szwederowie. Verus Israelita. I on i moja matka narażali się na przesytkę wina i hostii dla wspomnianych wyżej Mszy świętych. Odprawiał je ks. Lucjan Jaroszka, neoprezbiter z Pabianic, spotkany na kwarantannie w Mauthausen. Kapłan również nieprzeciętny, zdolny do heroizmu na co dzień. Ijemu dużo zawdzięczam. Tymczasem ks. Grzelczak prowadził kierownictwo duchowe naszej grupy. Jako Ojciec duchowny głosił nauki ascetyczne, przeprowadzał miesięczne dni skupienia, gromadził w zamkniętym biurze parafialnym; w zamkniętym kościele szwederowskim prowadził Drogę Krzyżową. Drogę pełną lęku i przejęcia, solidarności i współczucia z Narodem, niepewności i niewiadomej, bo dokąd to prowadzi?

Na razie prowadziło to na cmentarze, gdzie odprawialiśmy samotne medytacje. Niekiedy do lasu, gdzie zostawialiśmy różczarowane kuzynki, by pod „parasolem” ich obecności roztrząsać we własnym gronie problemy filozoficzne. Pomagał nam w tym starszy już alumn, a późniejszy proboszcz Łabiszyna, ks. Tadeusz Błażejewski. Ukrywał się on pod zawodem „zakrystianina” w kościele na Czyżówku. Tam też stał na czatach, gdyśmy w zamkniętej zakrystii mieli wykłady. Prowadził je późniejszy wikariusz generalny Gdańska ks. Bernard Polcyn. Człowiek utalentowany ponad przeciętność. Jego inteligencja i pamięć współzawodniczyły ze skromnością i prostotą. Świadom swych uzdolnień i świadom ich niewykorzystania w Kościele, mąż głębokiej wiary. Bez trudu wykladał nam logikę, potem teorię poznania, psychologię – wykłady, jakie sam przejął od późniejszego biskupa chełmińskiego Kazimierza Kowalskiego, absolwenta uczelni

w Louvain. Z Regensburga sprowadziliśmy sobie wszyscy „Elementa Philosophiae Scholasticae” Reinstadlera. Możliwość takiego zamówienia – to jedyny pożytek z wprowadzenia Gau Danzig-Westpreussen do Reichu. Poza tym wykładał ks. Polcyn liturgikę. Emocje pierwszych egzaminów z filozofii łagodziła jego Mama jak mogła – kawą i ciastkami. Sami też doksztalcaliśmy się w języku greckim. I pytaliśmy się nawzajem, jak pójdą dalsze egzaminy... Czy się skończą i jak się skończą? Uspokajała informacja ks. Wierzchowickiego, który zreferował naszą sprawę władzy duchownej w Gnieźnie. Jedynym rządcą osieroconej archidiecezji był ks. van Blericq, wikariusz generalny. Jego ciche placet było zapewnieniem, że trzeba dalej.

I co dalej?... Dalsze wspomnienia zatłukły już pałki miażdżące w mózgu wszelkie dalsze wydarzenia... Aresztowanie 2 lutego 1943. Dzień, w którym niejedno serce miało „przebić miecz boleści”. Czyżby więc chodziło tu o ofiary jakiegoś historycznego fatum? Przypadek losu czy historia życiowych pechowców? Na to zebrało się tych parę drobnych wspomnień, by z ich podsumowania można było stwierdzić, że chodziło o ludzi, którzy świadomie na stos życie swe rzucili. Wierzyli, że Polska tylko wówczas według wieszczą powstanie, jeśli przyjmie jego definicję szczęścia. Bo przecież znak na szczęście był dany: Matka Boska Gromniczna, mówił Teofil, to również dzień, w którym powiedziano, że będzie „na upadek i na powstanie wielu”...

„Na upadek”: większość padła. „Dziwne seminarium” wydało zaledwie paru kapłanów. Pozostali? To właśnie te Mickiewiczowskie szczeble: „Na powstanie wielu”. Więc powstańcie, Młodzi Przyjaciele, i pnijcie się wysoko, bo wiele się szczebli dla was nazbierało. Nagromadziło się polskie Montmartre i czeka teraz na wasze „sursum corda!”.

*ks. Zdzisław Lipiński*